Nr. 9. Warszawa, dnia 16 (28) Lutego 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

CO TO JEST LOTERJA?

Dla utrzymania życia, dla zadośćuczynienia potrzebom, przedsiębierzemy liczne prace, ponosimy trudy i ciężary, walczymy z przeciwnościami. Jestto walka o byt—walka tak powszechna w naturze, wspólna wszystkim istotom żyjącym, na każdym kroku się objawiająca.

Idea bytu, jest zasadą i przyczyną większości naszych działań,—nią ożywieni, przystępujemy do owéj walki, w któréj rozwijamy nasze siły, niszcząc wszelkie zawady, usuwając wszelkie przeszkody, w celu zdobycia środków do zaspokojenia potrzeb.

Jak w każdéj walce, tak i tutaj idzie o to, aby wyjść zwycięzko, z korzyścią. Naturalną więc jest rzeczą, że człowiek pragnie ułatwić sobie nabycie potrzebnych mu środków, że szuka sposobów lżejszego ich zdobycia. Istnieje nawet zasada ekonomiczna, by z danéj ilości pracy i trudów, otrzymać ile można najwięcéj korzyści. W życiu, każdy codziennie stwierdza to prawidło. Ponieważ jednak wszelkie nabycie, wymaga znacznych wysileń, ponieważ zdobycie dostatku zwłaszcza, do którego każdy dąży, wymaga wielkiéj wytrwałości, energii i długiego czasu, nie zadawalnia więc nas i ta zasada, nie poprzestajemy na tém, chciałoby się za darmo otrzymywać to, co drogą pracy zdobywane być winno. Amatorów darowizny nie brak—lecz społeczeństwo stoi na pracy swoich członków.

Łatwo jest zauważyć, że różne są sposoby nabycia i że większość z nich, opiéra się na własnéj naszéj produkcyjnéj tj. korzystno-użytecznéj pracy. Czy to będzie rzemieślnik, czy fabrykant, czy kupiec, czy agronom, czy artysta, czy uczony—każdemu z nich praca służy za środek do wypełnienia swoich celów, do nabycia tego, czego im potrzeba dla zaspokojenia potrzeb. Wszelako jest jeszcze dość obszerna sfera sposobów nabycia, odmiennéj natury, gdzie najczęściéj wszystko zależy od ślepego trafu lub przypadku; do téj kategorji odnieść należy i loterję.

Loterja zatem jest jednym ze sposobów nabycia,— stawiamy na ryzyko małą sumkę, pragnąc otrzymać w zamian za nią wiele. Ryzykuję 10 rs., aby wygrać 10,000 rs. Zastanówmy się teraz, o ile taki sposób nabycia daje się usprawiedliwić?

Odpowiadam z góry. Jestto sposób nabycia niepewny, a nawet szkodliwy. Zdanie moje, chociaż naprzód wypowiedziane, nie jest apriorystyczne, przeciwnie, przedstawi się nam jako wniosek z faktów, z danych, które poniżéj przytoczę.

Początek loterji dopatrują w Rzymie, gdzie w czasie Saturnaliów, dla rozweselenia biesiadników, rozdawano im bilety, na które losem wygrywali jakiś przedmiot kosztowniejszy, lub drobnostkę. Cesarz zaś Heliogabal, podczas jednéj uroczystości obchodzonéj w Rzymie, zaprowadziwszy taki podział numerów, że jedne z nich wygrywały losem jaki przedmiot, a inne przegrywały, przeznaczył był na wygrane, różne, czasem nawet dość dziwne lub śmieszne przedmioty; tak np. jeden numer wygrywa sześciu niewolników, inny sześć much. [1]) Jednakże loterje w formie podobnéj dzisiejszym, po raz pierwszy zjawiły się dopiero w XV wieku, mianowicie we Włoszech, a następnie wkrótce rozpowszechniły się po całéj Europie.

Odróżniamy dwa główne rodzaje loterji. U nas, w Saksonii, Holandii, Niemczech i w innych krajach, istnieje loterja klassyczna, we Włoszech loterja liczbowa.

Dla objaśnienia loterji liczbowéj, przytoczę jéj urządzenie w Piemoncie, z małą bowiem różnicą, jest ona podobnież urządzona i w innych miejscowościach Włoch.

[1]) Ekonomista z r. 1868 str. 230.

Loterja liczbowa przypomina zwyczajną loteryjkę, składa się również z 90 numerów. [2]) Biorący w niéj udział, kupują bilet z 2, 3, 4, lub 5 numerami, co do których pozostawiony im jest swobodny wybór. Wygrana na dwóch numerach, nazywa się ambo i wynosi 270 razy wziętą stawkę,—na trzech terno i wynosi 5,500,—na czterech quaterno—60,000 razy stawkę. Dajmy na to, że ktoś kupuje bilet z 5 numerami, jakiemi niech będą; 13, 25, 49, 67, 90. Z tych 5 numerów można ułożyć następujące kombinacje.

Najprzód: dziesięć ambo, mianowicie:	Powtóre: dziesięć terno, mianowicie:
13 — 25	13 — 25 — 49
13 — 49	13 — 25 — 67
13 — 67	13 — 25 — 90
13 — 90	25 — 49 — 67
25 — 49	25 — 49 — 90
25 — 67	25 — 67 — 90
25 — 90	49 — 67 — 90
49 — 67	49 — 67 — 13
49 — 90	49 — 90 — 13
67 — 90	67 — 90 — 13

Po trzecie: pięć quaterno, mianowicie:

13 — 25 — 49 — 67
25 — 49 — 67 — 90
49 — 67 — 90 — 13
67 — 90 — 13 — 25
90 — 13 — 25 — 49

Na każde z tych ambo, terno, lub quaterno, można stawiać najmniéj po 2 sous. Ponieważ zaś mamy tutaj 10 ambo, 10 terno; 5 quaterno, zatem bilet z 5 numerami, kosztować będzie przynajmniéj 50 sous, czyli $2^1/_2$ fr. Gdyby kto chciał, może stawiać więcéj *np.* po 4 sous; w takim razie za bilet z 5 numerami zapłaci po 5 fr. Dodać należy, że niezależnie i ktoś inny może trzymać podobnež numera, tak, że chociaż loterja składa się z 90 numerów, jednak liczba grających może być nieskończenie wielką. Biedniejsi zazwyczaj biorą bilet z 4 numerami, które pozwalają ułożyć 6 kombinacyj ambo i 4 terno. Bilet taki licząc po 2 sous, kosztuje 20 sous tj. 1 fr, Ciągnienie odbywa się co tydzień *np.* w Sobotę. Z koła zawierającego owe 90 numerów, wyciąga się tylko 5. I ci szczęśliwcy, którym ambo, terno, lub quaterno z tych 5 wyjętych numerów wyszło, wygrywają,— reszta przegrywa. Ponieważ wyciąga się tylko 5 numerów, zatem według wskazanego powyżéj przy każdem ciągnieniu, wygrywającemi mogą być tylko: 10 kombinacyj ambo, 10 kombinacyj terno i 5 kombinacyj quaterno. Tymczasem z 90 numerów, można ułożyć 4,005 kombinacyj ambo, to znaczy, że 10 ambo wygrywających, mają przeciwko sobie 3,995 przegrywających; podobnież 10 terno wygrywających, mają przeciwko sobie 117,480 przegrywających; wreszcie 5 quaterno wygrywających, mają przeciwko sobie 2,555,190 przegrywających. Gdyby te kombinacye były uwzględnione, to wygrana powinnaby wynosić tyle razy stawkę, ile jest stosunkowo przeciwnych kombinacij. Mianowicie, skoro na 10 ambo wygrywających, jest 3,995 przegrywających, czyli na 1 wygrywające przypada stosunkowo $399^1/_2$ przegrywających, to i wygrana na ambo powinnaby wynosić $399^1/_2$ razy wziętą stawkę, a nie 270 razy; podobnież terno powinnoby wynosić 11,748 razy wziętą stawkę, a nie 5,500; a na quaterno 511,038 a nie 60,000 razy.

Tak więc ta loterja tyle objecująca na pozór, w gruncie rzeczy przedstawia bardzo małe prawdopodobieństwo wygranéj, co jednak nie przeszkadza aby tłumy grały w nią i rujnowały się dla niéj.

[2]) Oteczestwennyja zapiski t. 80 str. 200.

W niektórych włoskich lotejrach, można grać jeszcze extrakt, mianowicie gdy kto deklaruje pewien pojedynczy numer, który jeżeli będzie w liczbie 5 wyciągniętych, daje wygranę równą stawce wziętéj 15 razy. Tymczasem extrakt ma przeciwko sobie 89 przeciwności, gdyż loterja składa się z 90 numerów. Jak małe prawdobieństwo wygranéj przedstawia nawet extrakt, dowodem tego jest ta okoliczność, że na loterji paryzkiéj wymieniają numer, który przez 1,260 ciągnień w ciągu 35 lat dokonanych, ani razu nie wyszedł. [1])

Loterje klassyczne przedstawiają już więcéj prawdopodobieństwa wygranéj, chociaż cecha wielkiéj niepewności i im również towarzyszy. Urządzenie ich, jakkolwiek rozmaite w różnych krajach, wszelako jest mniéj więcéj podobne, ponieważ zaś nasza loterja do tejże kategorji się odnosi, zatem bliższe zapoznanie się z nią, da nam miarę w tym względzie.

Numerów w niéj 23,500. Do każdéj klassy los cały kosztuje 10 rsr., co w ogólnéj summie czyni 1,055,000 rs. czyli 7,033,333 zł. i 10 groszy. Wpisowe idące na korzyść kollektorów za utrzymanie ksiąg, po 24 kop. w każdéj klassie od losu, wynosi 23,640 rs. czyli 157,600 złp. Razem z poprzednią summą będzie 1,078,640 rs. czyli 7,190,933 złp. 10 groszy. A że do roku mamy 2 loterje, to czyni 2,157,280 rs. czyli 14,381,866 złp. 20 groszy.

Ależ, niejeden powie, przecież nie wszystkie bilety się rozprzedają. Stanowczo temu zaprzeczam. Proszę pójść do biura loterji, a przekonacie się, że zawsze zapotrzebowanie ze strony kollektorów jest na większą ilość numerów, aniżeli ich posiada loterja. Że zaś kollektor kaucyą zabezpiecza wzięte bilety, zatem dla loterji jest to obojętném, czy on je sprzeda wszystkie, czy nie. A znowu kollektorowie na swoją szkodę nie działają—i rzeczywiście, nieraz już brak biletów w kantorach, a jeszcze zjawiają się amatorzy do kupna. Jeżeli zaś niekiedy pozostanie kilka numerów nierozprzedanych, jestto bagatela w obec zarobku otrzymanego przez kollektora.

Zatem loterja kosztuje nas rocznie 2,815,520 rs. czyli 14,381,866 złp. i 20 groszy. [2]) Jakiż obrót otrzymuje ta summa? Rachunek robić będę roczny, ztąd liczby wypadać będą podwójne.

I tak, za wpisowe dla kollektorów odchodzi . .	47,280 rsr.
Na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności	6,000 „
12% od wszelkich wygranych pozostaje w kassie loteryi, co stanowi	252,480 „
3% lub 4% strącają się od każdéj wygranéj dla kollektora, co stanowi przybliżenie	36,000 „
Razem	341,760 rsr.

czyli 2,278,400 złp. co rok bezpowrotnie ginie dla grających. Pozostała reszta 1,815,520 rs. czyli 12,103,466 złp. i 20 groszy, rozdziela się między wygrywającymi, z których większość otrzymuje stawkę. Na 11,750 numerów wygrywających, jest 10,780 stawek, czyli, że właściwych wygranych mamy zaledwie 970,—a poczynając od 1,000 rs. i wyższych jest tylko 59.

Dodać do tego należy, że los nie przebiera i niesie często wygranę zamożnym, ztąd łatwo sobie przedstawić, że niewielka tylko garstka ludzi potrzebnych, jak to mówią, wygrywa, a tymczasem tyle tysięcy osób trzyma loterję właśnie dla tego, że są potrzebnemi.

Cyfry przedstawione niezbyt zachęcający dają rezultat, jednakże każdy ma nadzieję wielkiéj wygranéj. Licząc po 8 osób na los, wypada 188,000 grających. Czy podobna jest przedstawić sobie tyle łaknących istot, w czasie ciągnienia 5-éj klassy?—z których jedna klęczy u stóp ołtarza, druga wzdycha siedząc w wygodnym fotelu, trzecia drży od zimna, czwarta na oba spusty zamknięta, kryje się przed wierzycielami, co grożą Lesznem i t. d., i t. d. Dodajmy do tego rozmaitość stanu i położenia, że wzdychania wychodzą z eleganckiego saloniku, ze skromnego pokoju i z lichéj żydowskiéj izdebki małego miasteczka. Gdyby nawet mieć wyobraźnię Wiktora Hugo, to jeszcze pełnego obrazu tego wszystkiego zrobić sobie niepodobna.

Mało tego, silnie rozwinięta w nas chęć nabywania prawie za darmo, exploatuje się przez tych, którzy mogą to czynić *np.* przez bankierów. Nelken dwa razy do roku puszcza w loterję bilety pożyczki premjowéj. Bilety te, jak wiadomo są bardzo korzystne, dają bowiem obok 5%, możność wygrania aż 200,000 rs. [3]) Ale, przy tak dogodnych warunkach, nie dziw też, że prawdopodobieństwo wygranéj jest tutaj nadzwyczaj małe, na parę milionów bowiem wypuszczonych biletów, jest przy każdém ciągnieniu tylko kilkadziesiąt wygrywających. Otóż więc Nelken ustępuje łaskawéj publiczności owo prawdopodobieństwo wygranéj tj. sprzedaje amatorom za rs. 5 numer biletu pożyczki premjowéj, na który gdyby trafem padła wygrana, to ona spłynie na owego nabywcę. Widoczną jest rzeczą, że loterja klassyczna jest nieporównanie pewniejszą od téj, a jednak i tutaj amatorów nie brak

Jeżeli więc Nelken, posiadając znaczny zapas tych papierów w swym kantorze zdoła sprzedać w ten sposób 1,000 numerów, to zarabia na téj operacji 5,000 rs. nie uszczuplając w niczém swego kapitału, ani nie tracąc przywiązanych do niego procentów. Ponieważ zaś to powtarza się dwa razy do roku, zatem zyskuje 10,000 rs. Dajemy więc 5 rs., a za to otrzymujemy nadzieję, któréj wartość prawie równa się zeru! Nawiasem dodam, uprzedzając wszelkie oburzenia, że Nelkenowi dziwić się nie należy — nie bądźmy muchami na lep lecącémi. Znane są również w naszym kraju loterje klassyczne: pruska i saska, które już jako zagraniczne, są dla nas bezwarunkowo gorszémi od miejscowéj.

Istnieje jeszcze wiele innych loterji,— cecha niepewności wszędzie ta sama.

Loterje są nadto szkodliwe. Jeżeli nie rodzą przypuszczenia że dostatek i majątek są rzeczą tylko przypadku, to w każdym razie osłabiają zasadę, iż trud i praca są drogą do tego celu. Głównie zaś szkodliwa ich strona przebija się w tém, że w nie najbardziéj grają biedni, i to tacy biedni, dla których sam udział w grze loteryjnéj jest rujnującym, a co najmniéj uszczerbek przynoszącym. Gdyby tylko klassa średnia grała w loterję, to o jéj szkodliwości bardzo niewiele powiedziećby można.

To pewna, że w czasach biedy i niedostatku, loterje najwięcéj popłacają. Człowiek w dobrym bycie, mający zabezpieczone jutro, nie goni za ślepym trafem; ten zaś, któremu dla zyskania dobrobytu tysiączne do przełamania przedstawiają się trudności, szuka nadzwyczajnych sposobów wydobycia się z tego położenia. Obecnie każdy niemal stróż, dorożkarz lub rzemieślnik, trzymają loterję.

Niedawno Kurjery głosiły, że jedna z większych wygranych padła na los, udział w którym brali: stróż, praczka i służąca. Takie ogłoszenie nietylko nie zniechęca lecz nawet zachęca do hazardowania się; podobnież cytują, że pewna zapalona ciągłemi przegranemi graczka, ostatnią salopę zastawiła aby wykupić bilet loteryjny — i wygrała wielki los, ale nie wspomną o tysiącu podobnych wypadków z tą różnicą, że nie uwieńczonych pomyślnym skutkiem.

Napróżno będziesz tłomaczył niejednemu biedakowi: że lepiéj zrobi zbierając i oszczędzając pieniądze wydawane na loterję, on, zawsze będzie miał gotową odpowiedź, wskazując na stróża Jana co się zbogacił przez grę loteryjną, lub na szewca Piotra, który za wygranę kupił sobie dom i t. d. Tłum słyszy o tych wybrańcach fortuny, i dziesiątki lat o nich wspomina, niepomny że każdodziennie tysiące innych są ofiarami tego zaślepienia.

Możność zbogacenia się, możność zdobycia dostatku odrazu, bez trudów, bez pracy, jest tak ponętną, że mało kto téj pokusie nie ulegnie. Ona to naprowadza bielmo na oczy zdrowego rozsądku i zaślepia nawet ludzi, mających zkądinąd dużo ekonomicznych przymiotów. Żydzi naprzykład, są tego rażącym dowodem, — proletarjat żydowski, pomimo swego ubóstwa, zapamiętale gra w loterję. W tém miejscu wspomnieć wypada, że loterja liczbowa jest nietylko mniéj pewną od klassycznéj, ale nadto, jako bardziéj przystępna dla biednéj klassy, jest tém samém bardziéj szkodliwą.

Wygrana w loterji jest zbiorem datków, wprawdzie dobrowolnych, ale ściąganych najczęściéj z biedaków. Niejeden, skrzętnie chowając wygranę, nie zastanowi się, że w niéj mieszczą się ciężko zapracowane grosze jakiego biedaka, na którego nie raczyłby spojrzéć.

Rzecz dziwna, w loterji nawet przegrana zdaje się zachęcać do gry, tłomaczą sobie bowiem: los jest zmienny, niepodobna ciągle przegrywać, musi się zmienić i t. d.

Mówiąc o loterji w stosunku do klassy niższéj społeczeństwa, dla lepszego zrozumienia, zrobię teraz takie przypuszczenie. Mam przed sobą robotnika fabrycznego lub biednego rzemieślnika który gra w loterję, np. saską, poczynając od 20 roku życia aż do 60 lat, ale trzyma zawsze tylko ¼ *część ćwiartki*. Przyznacie że to niewiele. ¼ część ćwiartki licząc po 75 kop. wynosi przez 5 klass 3 rs. 75 kop. Notabene trzyma on tylko *co drugą loterję* t. j. raz na rok (gdyż dwie loterje bywają do roku) i nadto przecięciowo *raz wygrywa stawkę*, drugi raz *przegrywa*— będzie to więc szczęście mierne ale nie najgorsze. Większość indywiduów bez najmniejszéj wątpliwości takiém tylko szczęściem się cieszy. Zatem wydaje on na loterję od czasu do czasu 5 złp. przytem raz przegrywa, to znów wygrywa, zapewne więc bardzo niewiele na tém traci.

[1]) Ekonomista z r. 1868 str. 233.

[2]) Rachunek robię najskrupulatniejszy, odliczam bowiem po 1,200 losów, jakie z klassy 1-éj, 2-éj, 3-éj i 4-éj wychodzą, a tém samém opłacanemi nie są.

[3]) Wiadomo, że pożyczka premjowa połączona jest z loterją, dwa razy do roku odbywającą się, gdzie najwyższą wygraną jest 200,000 rs.

Gdyby jednak zamiast nieść w ofierze dla loterji, składał do Kassy Oszczędności, gdzie kapitał złożony przynosiłby mu 4%, to łatwo jest obliczyć, ileby zyskał. Już w 30-m roku życia miałby zaoszczędzonego tą drogą kapitału 25 rs. 58 kop., w 40-m 60 rs. 81 kop., w 50-m 112 rs. 96 kop., w 61 m 201 rs. 52 kop.!

200 rs. to majątek, to bogactwo dla człowieka jego stanu. Ten człowiek umierając pozostawia kilkoro sierot bez grosza, 200 rs. byłyby dla nich szczęściem. Zresztą, w każdéj chwili życia, w razie jakiego nieszczęścia, choroby i t. p., może on odebrać swą summę z kassy oszczędności, ratując się w potrzebie.

Takich ludzi w Warszawie, dajmy na to, jest 500. Oni więc po 40 latach razem wzięci oszczędziliby 100,000 rs., to znaczy że kapitał klassy biednéj w Warszawie podniósłby się o 100,000 rs.! Może mi kto zarzuci, że za to w ciągu tych 40 lat kilka indywiduów z téjże klassy zostałoby uszczęśliwionych przez loterję. Prawda, lecz ci kilku zbogaciwszy się bez pracy, najczęściéj nie potrafią dobrze użyć otrzymanych nagle środków, a zresztą wyjdą oni z koła klassy niższéj—i dlatego też ta okoliczność na polepszenie bytu téj klassy nic a nic nie wpłynie,—wtedy, gdy w pierwszym przypadku 500 rodzin (a nie kilku tylko) zyska po 200 rs. kapitału, co jest rzeczą niemałéj wagi.

Zapewne że summa 100,000 rs. licznéj klassy niższéj nie zbawi, nie postawi jéj na stopie dobrobytu, tutaj i pięć razy taka ilość nie byłaby dostateczną — w każdym jednak razie byłoby to nie bez znaczenia. Zresztą niedziw, loterja jest tylko jedną okolicznością w życiu człowieka, gdyby zaś we wszystkich razach i względach oprzéć się na rozumnych zasadach ekonomicznych, dopiero wtedy ujawniłyby się potężne tych zasad skutki. W tém spoczywa tajemnica dobrobytu — a w dalszym ciągu rozwoju i szczęścia, tu ukryta jest potężna siła tych drobnych kropel, co z czasem wydrążają kamienie i kruszą skały.

Zsumowawszy wszystko, wynika, że loterja jako sposób nabycia—nie znajduje usprawiedliwienia.

Niektórzy upatrują w niéj jeszcze drugą stronę, mianowicie uważają ją za zabawę. Jako taka, mogłaby być uwzględniona o tyle, o ile gra w karty naprzykład t. j. dopóki zamyka się w granicach nieszkodliwéj rozrywki. Lecz problematyczną jest słuszność tego zdania,—cecha bowiem nabywania, nie jest właściwą cechą zabawy.

Istnieje w nas ciągle pragnienie polepszenia naszego bytu. To dążenie w ogóle jest dla nas zbawienném; przy braku jednak wytrwałości i cierpliwości, popycha nas do szukania nadzwyczajnych sposobów zdobycia środków i dostatku, popycha nas do gry, do loterji i t. d. Loterja więc nie jest przyczyną, jest skutkiem,—dla radykalnego wyleczenia się z wady, usunąć należy przyczyny.

W 1850 r. Rząd chciał skasować loterję, lecz nie uczyniono tego z obawy, iż publiczność przywykła do gry w loterję, zwróci się do loterji zagranicznych, a tym sposobem skarb pozbawi się dochodu, nie mogąc zapobiedz wychodzeniu pieniędzy za granicę. I słusznie, nie od zniesienia loterji, ale od rozszerzania zdrowych zasad i poglądów na życie zacząć należy.

Oto są argumenta, któremi chciałem dowieść z góry wypowiedzianego założenia. Nie jestem jednak tyle naiwny, abym łudził się nadzieją, że zaraz kogoś zmienię, że kogoś przerobię, ale wszelako spodziewam się, że każdy przyzna mi rację, chociażby nie przestając czynić swego. Będzie to pierwszy krok na drodze do słusznéj zasady. Co do mnie dodam jeszcze taką radę: Jeżeli kto koniecznie chce grać w loterję, jeżeli mu to sprawia przyjemność, jeżeli bez takiéj emocji obejść się nie może, to niech trzyma tylko loterję klassyczną, jako stosunkowo najpewniejszą, i notabene w małéj ilości, w ilości nieprzykréj dla jego kieszeni. Jeżeli więc może bez uszczerbku wyrzucić 2 rs. na miesiąc, niech nie trzyma więcéj nad ćwiartkę; jeśli jest w stanie wydać tylko 1 rs. niech się ograniczy połową ćwiartki. W takim tylko razie będzie mógł powiedziéć: ot bawię się,—i uniknąć zarzutu, że popełnia głupstwo, co zawsze jest niemiłém dla wrażliwych uszu,

A. Suligowski.

TĘSKNOTA.

Wieczna wiosna!—ach, ten ranek,
Gdyby w nim na wieki żyć!
Ten kraśniutki życia wianek
Gdyby wiecznie, wiecznie wić!..
Te sny lekkie, te ogniki,
Te mgły, co się lekką zgrają,
Pod sklepieniem nieb wieszają,
Wznoszą się, to znów w dół lecą,
Nikną, bledną i znów świecą...
Te księżyca mdłe promyki...
Te pragnienia promieniste,
Myśli błogie, jasne, czyste,
Jak wstydliwéj jutrzni łza...
Widma, co mkną błyskawicą,
Grają w pieśniach i w snach świécą...
Gdyby wieczna wiosna ta!—

Wieczna wiosna!.. Te pieluchy
Tylu marzeń, z tylu lat,—
Te, jak cień, błądzące duchy,
Co nam zapełniły świat,—
Sylfy, w chmur posępnych cieniu,
Zstępujące po promieniu
Nocnych świateł, nocnych łun,—
Dźwięki ziemskie dum rodzinnych,
Przebóstwione w pieniach gminnych,
Spadłe z złotéj lutni strun,—
Czemuż, zachceń tych dziecinnych,
Tak zawcześnie rychły chłód
I uroków tych niewinnych,
Krótko tak trwający cud?...
Twych spodziewań liść zielony
Czemuż zżółkł, ledwieś nań spojrzał?
I badylek pochylony
Uwiędł wprzód, nim owoc dojrzał?..

Wieczna wiosna!... Marne chęci—
Krasnolicy kwiatek zbladł,
Kilka gwiazd tkwi w twéj pamięci
Z zamłodzieńczych jeszcze lat;
Ale czemuż takie rzewne,
Takie mgliste, takie gniewne?
Zamiast kwiatów—lody, szrony;
Wszędzie pusto, głucho, marno
I na wszystkie świata strony,
Tak jak w grobie—smutno, czarno?...

Ach, téj wiosny droga mleczna,
Czemuż nie wieczna, nie wieczna?

L. F.

O PRACY UMYSŁOWÉJ
w stosunku do pracy fizycznéj.

ODCZYT PUBLICZNY
JULJANA OCHOROWICZA.

(*Ciąg dalszy - patrz Nr 7.*)

*
* *

Wszystkie rodzaje naszéj pracy fizycznéj — czy to będzie kucie młotem, rąbanie drzewa, noszenie ciężarów, czy téż tylko bieganie po górach, pływanie lub szermierstwo—jedném słowem cała nasza zewnętrzna działalność, jest pracą *muskułów* czyli *mięśni*.

Wiadomo, że dla całego naszego organizmu, rusztowanie stanowi szkielet kostny. Do niego przyczepiają się wszystkie inne organy. Tylko mózg i mlécz paciérzowy mieszczą się wewnątrz kości, jakby w kościanéj szkatułce—inne zaś organa, jak: muskuły, błony, wnętrzności, żyły i nerwy, wszystko to podtrzymuje się wzajemnie, znajdując punkt oparcia lub przyczepienia w kościach szkieletu.

Praca, jaką wykonywa żołądek trawiąc pokarmy, albo serce, rozsyłając krew po ciele, dzieją się niezależnie od naszéj woli. Niepotrzebujemy się kłopotać o specyalność naszych żołądków lub naszych serc—czasami spełnią swoją powinność sumienniéj aniżeli my nieraz spełniamy te powinności, które od naszéj woli zawisły. Do tych ostatnich, należą właśnie wszelkie rodzaje zewnętrznéj pracy muskularnéj. Przedewszystkiém zaś muskuły rąk najwięcéj są uzdolnione do wiernego wykonywania rozkazów naszéj woli.

Cóż się dzieje, kiedy chcę zgiąć rękę? Rozkaz woli, z mózgu przebiega po nerwie, jak po drucie telegraficznym, do tego mięśnia, który się ma skurczyć—i mięsień kurczy się. Wskutek tego, kości ramienia i przedramienia, do których się przyczepiają końce tego mięśnia, zbliżają się, ponieważ w łokciu są osadzone ruchomo, jak na zawiasie—i ręka zostaje zgiętą.

Jeśli podobne doświadczenie zechcemy powtarzać przez dłuż-

szy czas, zwłaszcza, trzymając w ręku ciężar, to uczujemy zmęczenie. Czy będzie to zmęczenie naszéj woli? Bynajmniéj. Wola gotowa ciągle wydawać rozkazy—ale cóż z tego, kiedy ręka nie słucha, i znużona, opada bezwładnie.

Dlaczego opada? i dlaczego czujemy zmęczenie? Zaraz to zobaczymy.

Żaden organ ciała nie może żyć i działać, jeśli do niego krew nie dopływa. Podwiązawszy tętnice, przynoszące krew do danego palca, sprowadzimy uschnięcie palca,—tak, że w krótkim czasie stanie się niezdolnym do życia, nieposłusznym woli— stanie się po prostu czémś zewnętrznem względem naszego ciała, nie organem, ale rzeczą martwą. To samo byłoby z całą ręką, gdybyśmy wstrzymali przypływ krwi; to samo z każdym innym organem. Widocznie więc, krew jest owym płynem ożywczym, który przepływając po całém ciele w elastycznych rurkach, zapewnia łączność i trwałość jego spraw życiowych—warunkuje życie organizmu.

W ciele naszém, mamy dwojakiego rodzaju krew: *czerwoną* i *czarną*, i dwojakie rurki do jéj przebiegu służące: *tętnice* i *żyły*. Wszystkie zaś, zbierają się w sercu jako ogólnym zbiorniku. Krew czerwona jest pożywną, krew czarna jest już zużytą i niepożywną. Krew czerwona przynosi muskułom pokarm—krew czarna odnosi wydzieliny. Serce, reguluje krążenie jednéj i drugiéj: czerwoną, bierze z płuc i rozsyła organom dla utrzymania ich żywotności, czarną, odbiera od organów i wysyła do płuc, gdzie przez zetknięcie z powietrzem, staje się napowrót pożywną; jednocześnie zaś, podczas krążenia, żołądek, który przetrawione pokarmy zamienił w sok odżywczy, podtrzymuje ilość krwi pożywnéj, zmniejszającą się na skutek pracy organizmu. Ilość krwi pożywnéj zmniejsza się, ponieważ muskuł zabiera od niéj nowe cząstki a stare oddaje krwi czarnéj, która je unosi jako niepotrzebne. Działanie to nosi nazwę: *przemiany materji*, odbywającéj się w nas bezustannie, do ostatniéj chwili życia. Najdrobniejszy ruch, każde kiwnięcie palcem, każde słowo wymówione ustami, zużywa pewną ilość krwi i pociąga za sobą konieczność odnowienia jéj przez jedzenie, picie i oddychanie. Jedzenie, daje nam pokarm stały—picie—płynny, a oddychanie, gazowy. Tym sposobem strata krwi zostaje wynagrodzoną i każda cząstka naszego ciała, otrzymuje z serca ilość krwi potrzebną jéj do życia. Jeśli np. weźmiemy pod uwagę pięć palców z jednéj ręki, to do każdego z nich dopływa tyle krwi świeżéj z serca, ile jéj potrzeba dla utrzymania palców przy życiu; jeśli zachowując cztery palce w spokoju, piątym zaczniemy poruszać przez czas dłuższy, zginać go i wyprostowywać, czyli kurczyć i wyciągać naprzemian jego mięśnie, to palec ten prędzéj wyczerpie przeznaczoną dla niego ilość krwi pożywnéj i uczujemy w nim brak krwi pożywnéj, brak siły, czyli *zmęczenie*—podczas gdy inne palce, które nie robiły żadnych nadużyć i nadesłaną im krew konsumowały ekonomicznie, pozostaną nie zmęczonemi. Toż samo będzie z całą ręką, jeśli będę ją forsować, zostawiając drugą w bezczynności. Ale uważmy co będzie daléj, po takiém wysileniu: palec lub cała ręka, którą pracowaliśmy, zaczerwieni się, żyły nabiegną krwią—widocznie więc przypływ krwi został powiększony. Im więcéj ręka będzie pracować, tym więcéj krwi będzie do niéj napływać, tym więcéj muskuły otrzymywać będą pokarmu, a tém samém tym więcéj będą się rozrastać.

Doszliśmy więc do stwierdzenia faktu, że w skutek pracy organ pracujący rozrasta się. Porównywając białe rączki słuchaczek, ze spracowaną ręką rolnika lub kowala, będziemy mieli dostateczny dowód powyżéj wyrażonéj prawdy. Streszczając to, com przed chwilą powiedział, dochodzimy do następujących pewników fizjologicznych:

Każdy organ, ażeby żyć potrzebuje krwi—Organ pracujący, potrzebuje jéj więcéj, aniżeli w spoczynku będący.

Brak krwi pożywnéj, wyradza poczucie zmęczenia—I nakoniec:

Praca danego organu powoduje większy jego rozrost.

* *

Zapytajmy się teraz, jaki będzie stosunek tych praw fizjologicznych do pracy umysłowéj? Czy praca umysłowa ulega tym samym prawom? czy i ona ma swój organ cielesny? Ważne te pytania rozstrzygnięte zostały dopiero w ostatnich czasach. Pierwéj, sądzono za przykładem Descart'a i Leibnitza, że ciało i duch, są to dwie wprost przeciwne i najzupełniéj niezależne od siebie istoty. Dziś już najpospolitsze zjawiska nie pozwalają na przyjęcie takiéj hypotezy; widzimy bowiem, że nietylko ciało jest zależném od duszy, ale i dusza zależną jest od ciała—że organizm, że człowiek żywy, jest jedną nierozdzielną całością ducha i materji.

Zauważono, że pracując umysłowo, męczymy się podobnie jak pracując fizycznie, że u ludzi pracujących umysłowo, mózg bywa więcéj rozwinięty, że u zwierząt przez zcinanie płatów mózgu, sprawiamy stopniową utratę władz umysłowych, które powracają napowrót, w miarę jak massa mózgowa odrasta; że brak krwi w mózgu, tak samo zawiesza pracę umysłową, jak brak krwi w mięśniach, zawiesza pracę mechaniczną.

Wszystkie te spostrzeżenia zyskały rozumową podstawę od czasu, gdy prace fizyologów, a w szczególności ostatnie doświadczenia Byassona wykazały, że przy odosobnionéj pracy umysłu, krew zużywa się podobnie, jak przy pracy mięśniowéj. Różnica zaś związków chemicznych, wydzielonych, raz, po całodziennéj pracy umysłu, drugi raz po całodziennéj pracy fizycznéj, wskazuje na różnicę organów pracujących w pierwszym i w drugim razie. Nie ulega zatém wątpliwości, że organem czynności duchowych jest mózg i że czynność ta tak samo zużywa krew, jak czynność muskułów. Obliczono nawet, że mózg potrzebuje średnio od $1/5$ do $1/3$ całéj ilości krwi wysełanéj przez serce (Lewes), że zatem stosunkowo zużywa bardzo znaczną ilość krwi. Najmniejszą zmianę w doplywie krwi, mózg natychmiast odczuwa, gdyż zmiana taka sprowadza zaraz zmianę w jego funkcyach, czyli w naszém życiu duchowém. Wytężona praca umysłowa wyczerpuje krew i to mam tłómaczy uczucie zmęczenia, jakiego wówczas doznajemy. Tym sposobem objawy zmęczenia umysłowego i fizycznego, sprowadzają się do jednéj przyczyny: wyczerpania krwi a ztąd braku sił. Powolny lub nagły ubytek krwi przypływającéj do mózgu, sprowadza senność i utratę świadomości. Cwiczenie umysłu, powiększając przypływ krwi, wywołuje rozrost mózgu, podobnie jak praca fizyczna wywołuje wzrost muskułów. Badania nad czaszkami naszych praojców, wykazują liczebnie, stopniowe powiększenie się mózgów ludzkich, od czasów przedhistorycznych, na skutek wzrostu cywilizacyi a tém samém pracy umysłowéj. Fakt ten jest pełen znaczenia; wykazuje on bowiem, że nie materya stanowi o rozwoju naszéj myśli, lecz że przeciwnie, myśl nasza pracując, zmusza mózg do rozrostu i czyni go zdolniejszym do coraz to wyższéj działalności. W ten sposób nabyte zdolności, jako do organizacji przywiązane stają się dziedzicznémi, i dlatego to dzisiejsze pokolenia daleko wcześniéj dojrzewają pod względem umysłowości.

Ten sam fakt posłuży nam do rozwiązania kwestyi kobiecéj t. j. owego pytania, które przed chwilą pozostawiłem bez odpowiedzi: czy mózg kobiety już z natury swéj, niezdolnym jest do systematycznéj pracy umysłowéj?

Jakże teraz odpowiemy na to pytanie?

Mózg kobiety, biorąc przecięciowo, jest rzeczywiście mniejszy od mózgu męzkiego—i z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że kobiety dzisiejsze, biorąc także przecięciowo, mniéj są zdolne do systematycznéj pracy naukowéj. Czego to dowodzi? To dowodzi, że prababki nasze nie ćwiczyły swoich władz duchowych, i po 2-re, że dzisiejsze wychowanie kobiet nie stara się wynagrodzić tego zaniedbania. Gdybyśmy zmienili system wychowania—gdybyśmy dziewczętom dawali tyle sposobności do ćwiczenia władz umysłowych co chłopcom—mielibyśmy po pewnym czasie generacyą mózgów kobiecych, równie uzdolnionych do pracy.

Jedna tylko uwaga jest w téj sprawie niezbędną. Organizm kobiety nie straci nigdy swych fizjologicznych właściwości, które też na jéj pracę umysłową oddziaływać nię przestaną;—właściwości te, nie dadzą się usunąć przez wychowanie, i każdy kto o kwestji kobiecéj rozprawiać zamierza, z niémi rachować się powinien.

(*Dok. nast.*)

Z POWODU ARTYKUŁU PANA NIEWIADOMSKIEGO:

„O TRUCICIELKACH W PAŃSTWIE FLORY.“

Podał Dr. Józef Bagiéński.

(*Dokończenie, patrz Nr. 8.*)

Liście Blekotu dla bydła rogatego nie są szkodliwe, dla innych zaś zwierząt i ludzi, są gwałtowną trucizną. Z liści, przez wygotowanie, otrzymuje się oléj blekotowy, zielonawéj barwy, w medycynie często używany; z nasion zaś przez prasowanie wyciśnięty olej, w celu lekarskim się nie używa. Narkotyczne trujące własności pochodzą od bogatego w saletroród alkoloidu *Hyoscyaminu*.

Inne dwa gatunki Blekotu, na Podolu i Wołyniu rosnące: Blekot brunatny (*H. scopolia*) i Bl. blady (*H. pallidus*), mniéj są jadowite.

5. Tytuń multański (*Nicatiana Tabacum*). Roślina roczna, pochodzi z Ameryki południowéj, w Europie uprawiana na polach

i ogrodach. Łodyga prosta, okrągła, u góry gałęzista, do sześciu stóp wysokości dorastająca, liście podłużne, jajowato-eliptyczne, zaostrzone, do sześciu cali szerokie. Świeże liście mają barwę ciemno-zieloną, wysuszone zaś na brunatną ją zmieniają. Kwiaty różowe, wiechowato ułożone. Zapach liści mocny, odurzający, po wysuszeniu mocniejszy, smak gorzki, ostry. Poseł francuzki, przy dworze Portugalskim w Lisbonie w wieku XVI, Jan Nikot, pierwszy zasiał tytuń w ogrodzie i nasiona zebrane posłał do Paryża; od niego roślina rodzajowe swoje nazwanie otrzymała. W roku 1605 palenie tytuniu było już znaném w Turcyi, Egipcie i w Indyach. W samej Europie uprawia się obecnie do dziewięciu milionów pudów. Należy do trucizn narkotycznych, gwałtownie trujących, własność ta zależy od obecności w roślinie alkoloidu *Nikotyny.*

Inny gatunek, Tytuń pospolity (*N. rustica*), pospolicie *Bakunem*, a na Litwie *Korbaczem* zwany, w całej Litwie się uprawia. Tytuń ukraiński (*N. glutinosa*) na Podolu i Ukrainie, na polu powszechnie zasiewanym bywa. Oba te gatunki posiadają własności trujące, podobne pierwszemu tytuniowi.

Familja Apocineae.

Wszystkie w ogólności rośliny z téj familji, są bardzo podéjrzane, a z rodzaju Wronie oko (*Strychnos*), jadowite i we wszystkich częściach trujące.

1. Wronie oko (*Strychnos nux vomica*), inaczéj *Kulczybą* zwana. Pod tém imieniem przychodzą do nas z Indyi wschodnich owoce suche, wielkości brzoskwini, mające zewnętrzną łupinę pomarańczowéj barwy, wewnątrz zawierające kilkanaście nasion, które jednego cala w poprzecznéj średnicy nie przechodzą. Nasiona te są krążkowate, spłaszczone, delikatnym jedwabistym kutnerkiem pokryte, z jednéj strony wklęsłe, z przeciwnéj zaś strony wydatnością oznaczone, częściéj szarego lub popielatego koloru, niekiedy zaś bywają zupełnie ciemne; barwa ich zależy od stopnia dojrzałości. Nasiona są niezmiernie twarde, jakby z rogu, tylko za pomocą ostrych narzędzi na wióry rozdrobnić się dają. Zawierają w sobie właściwy alkaloid, *Strychninę*, w połączeniu z kwasem Igazurowym; przytem jeszcze łączą w sobie inny alkaloid *Brucynę*. Oba te alkaloidy nadają tym nasionom w wysokim stopniu własność trującą, szczególnie działającą na szpik pacierzowy, wzbudzającą gwałtowne drgawki (konwulsye). Działanie téj trucizny bez porównania jest większe dla zwierząt, niż ludzi; gwałtowniéj działa na zwierzęta, które ślepo się rodzą, niż na te, które zaraz po urodzeniu widzą.

2. Żegocina gorzka (*Strychnos Ignatii*), często *bobem świętego Ignacego* nazywana. Drzewo rośnie na wyspach Flipińskich. Z niego otrzymują się nasiona *Faba sancti Ignatii* albo *nuces philipinenses*, Owoce tego drzewa, wielkości sporéj gruszki, zewnątrz zielone; zawierają w sobie około dwudziestu nasion podłużnych, kątowatych od orzechów laskowych większych, brunatnych, równie twardych jak nasiona wroniego oka. Zawierają w sobie dwa razy więcéj Strychniny od Wroniego oka,—Brucyny zaś wcale nie mają i dla tego przez chemików używane bywają dla otrzymania czystego alkaloidu Strychniny. W wieku XVII Jezuici używali jéj do leczenia febry przepuszczającéj, i dlatego od imienia swojego prawodawcy, nazwali *Bobem świętego Ignacego.*

3. Żegocina Drzewo wężowe (*Strychnos colubrina*). Drzewo rośnie na wyspach Moluckich. Do nas przychodzi w kawałkach walcowatych, do trzech cali grubych, pokrytych cienką, gładką, brunatnawą, w poprzek brózdowaną korą, bez zapachu, mocno gorzkiego smaku. Drzewo to zawiera w sobie niewielką ilość Strychniny, ztąd mniéj jadowite od poprzednich ma własności. Dawniéj używane było w medycynie przeciw ukąszeniu jadowitych wężów.

4. Żegocina indyjska (*Strychnos Ticute*). Drzewo w najwyższym stopniu jadowite, z niego Indyanie przygotowują sławną zabójczą truciznę *Upas*, w któréj, przeważnym trującym pierwiastkiem jest Strychnina.

Ta familja najobszerniéj świat ziemski pokrywająca, odznacza się swą użytecznością ekonomiczną, dla zwierząt i ptastwa dając im pożywienie, dla człowieka jest też skarbem największym, dając mu za jego pracę takie produkta, jak: pszenica, żyto, owies, jęczmień i t. d. Pomimo swojéj skromnéj, wcale nieodznaczającéj się powierzchowności, co do użytku przed całą roślinnością przoduje. Każdy klimat ma z téj familji sobie właściwy chleb powszedni. Europa południowa i umiarkowana ma pszenicę, żyto, jęczmień; północna ma owies; Afryka ma proso. Zdawało by się, że obfitość tych roślin, człowiekowi, za jego pracę, zawsze tylko szczęście i błogosławieństwo przynosić będą; tymczasem tak nie jest, bo człowiek nienasycony, potrafił w tych darach Opatrzności, w tym chlebie powszednim, wynaleźć najpierwszego bez zaprzeczenia truciciela, przemieniając to wszystko na alkohol. Żadna trucizna ludzkości tyle złego nie uczyniła, co nadużycie tego najpospolitszego narkotyku.

W całéj téj familji nie ma jadowitych roślin, wszakże wyjątkowy zakał błogosławionéj téj familji przynosi Kąkol jadowity (*Lolium temulentum*) przez niektórych botaników *Życicą Durnicą* zwany. Roślina krajowa, między żytem i jarą pszenicą rosnąca, niekiedy trzech stóp wysokości dorasta. Kłos ma złożony, kłoski ościste, do szypułki przylegające, źdźbło charakterystycznie chropowatością u góry się odznacza. Ta roślina zapewne stanowi ewangeliczny kąkol, nie zaś niewinna Firletka Kąkol (*Lychnis Githago*) różowo kwitnąca, między żytem i pszenicą pospolita. Kąkol należy do trucizn narkotyczno-ostrych. Nasiona i cała roślina, tylko w stanie świeżym ma własności trujące, po wysuszeniu traci swą jadowitość i dla tego częściéj dla bydła, niż człowiekowi bywa szkodliwą.

Familja Trędownikowa, (*Scrophularineae*).

Konitrud lekarski (*Gratiola officinalis*). Roślina krajowa, na Podlasiu pospolita. Rośnie na brzegach rzek i rowów; łodyga wysokością jednéj stopy nie przechodzi. Kwiaty blado-żółte lub blado-różowe; liście przeciwległe, lancetowate, ze spodu kropkowane. Korzenie ma rozesłane poziomo, stawowate. Bez zapachu, smak we wszystkich częściach ma gorzki wstrętny. Korzenie w ilości drachmy użyte, wzbudzają gwałtowne womity i rozwolnienie. W większéj ilości, mogą wywołać zapalenie żołądka, dla tego téj rośliny do wewnątrz ostróżnie używać należy. Szczególnie jest szkodliwą dla koni i dla tego *Konitrudem* się zowie.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

Usiłowała uśmiechnąć się, ale w oczach miała łzy.

— Myślałem żeś pan samą prozą, panie Dermot.

— To nie poezja, to przesądna bojaźń, ale ta słabość zwykle nas opanowywa, kiedy nieszczęście zagraża tym których kochamy.

Sybilla pochyliła twarz łzami zalaną. Tak, on ją kochał—nie tak jak mężczyzni młodość i piękność kochają, ale jak kochają bezbronną słabość niewiasty. On kochał ją i cieszyła się tą miłością, chociaż uważała ją za przemijające uczucie, które prędko zniknie pod wrażeniem, jakie inna kobieta na nim uczyni.

— O czém? zapytał Dermot nachylając ku niéj głowę.

— Wdzięczna jestem panu za uczucie jakie masz dla mnie, bo wiem, że mam wiele wad i przykry temperament. Późniéj, gdy inne stosunki zajmą pana, zmniejszy się twoja dobroć dla mnie, wiem o tem, ale jestem wdzięczna, i wtedy zniosę to bez szemrania wiedząc, że na nią nie zasłużyłam.

Otwartość i pokora tych słów wzruszyły go. Zamyślił się głęboko. Głos jakiś szeptał mu do ucha: Po co szukać daléj; znajdziesz szczęście w staraniu o uszczęśliwienie téj szczeréj i piękné istoty. Wrócą róże młodości na jéj twarz bladą i oczy jéj, da-j wnym blaskiem rozbłysną.

Cóś z tych myśli malowało się w jego spojrzeniu, Sybilla bowiem zarumieniła się i rzekła:

— Pójdźmy już.

— Czekaj pani jeszcze trochę — odpowiedział. Nie prędko znowu będziemy mogli odbyć taki spacer. Przyjedzie pani Kennedy i zniknie swoboda, znikną chwile miłych pogadanek.

— Tak,—rzekła smutnie Sybilla—to prawda.

— A jednak, trzebaby nam czasami pomówić ze sobą. W którychże stronach pani zwykle przechadzać się będziesz? Może tu, nad brzegiem morskim?

— Tak, czasami,—z wahaniem odpowiedziała Sybilla.

— O téj godzinie?

Sybilla znowu przytwierdziła. Mówił spokojnie, jak o bardzo zwyczajnéj rzeczy. Czuła dobrze, że to nie było wyznaczenie miłosnéj schadzki, a jednak, zaledwie wyrzekła słowo przyzwolenia, już postanowiła w duchu że nigdy nie przyjdzie. Pocóż ten spacer z nim na samotném wybrzeżu? Nie była ani jego siostrą, ani siostrzenicą, ani narzeczoną, a przecież żyć będzie pod okiem kobiety, która zna

jéj tajemnicę. Zapewne te same uwagi przyszły na myśl panu Dermot. Zmarszczył brwi i zatrzymał się.

Nie—rzekł—nie trzeba nam tu przychodzić! Zapomniałem o pani Kennedy. Nie damy jéj takiego tryumfu. Zdajmy się więc na los, a raczéj na Opatrzność... Odchodzisz pani?

— Tak,—odpowiedziała Sybilla,—ale nie do domu. Nie chcę widzieć jéj przyjazdu; pójdę do ciotki Glyn i tam dzień przepędzę. Przyślij pan po mnie kogo dziś wieczór.

— Sam przyjdę, tylko bez obowiązku składania wizyty pani Glyn.

Rozeszli się. Gdy Sybilla wchodziła do domu, spotkała panią Mush. Jakkolwiek osoba ta, niezmiernie lubiła romansowe historje, nieobecność Sybilli wydała się jéj za długą, rzekła więc z powagą:

— Moja duszo, gdzieżeś tak długo bawiła?

— Nad morzem,—odpowiedziała Sybilla.

— Sama się przechadzałaś? — zapytała pani Mush z przycikiem.

— Nie, pan Dermot był tam—rzekła Sybilla stanowczym tonem.

Otwartość ta popsuła szyki pani Mush. Spoglądała na Sybillę zaambarasowana, w końcu rzekła:

— Nie rozumiem cię Sybillo. Czasem, zdajesz się unikać tego pana Dermot, który postępuje sobie bardzo swobodnie i obojętnie, to znowu spacerujesz z nim nad brzegiem morza—i przyznajesz się do tego.

— Dlaczegóżbym kryć się z tém miała?

— Dobrze że się nie kryjesz, ale lepiéj by było gdybyś nie chodziła na takie przechadzki. Nie mam wprawdzie istotnego zwierzchnictwa nad tobą, ale ojciec twój nie wié że pan Dermot jest tutaj, i dziwném mi się wydaje, że ten pan ma z tobą konferencje.

— Więc pani sądzisz, że to była miłosna schadzka? że pan Dermot i ja wyglądamy na to oboje?

Pani Mush spojrzała z zadziwieniem.

— Więc jeżeli nie miłosna to jakaż? Przecież nie interesa was do niéj pobudzają.

— Zmartwienie, zmartwienie,—rzekła Sybilla z wzrokiem tak pełnym boleści, że pani Mush musiała im uwierzyć. O, nie sądź pani iżby mu chodziły romanse po głowie. Nigdy o mnie nie myślał. Ma mnie prawie za dziecko, a siebie za starca, ledwie nie za dziadka mojego.

— To dziwna—a ja miałam was za narzeczonych! No, no, nie patrz tak na mnie,—nie powiem już ani słowa. Ale weź na uwagę że ani ty nie jesteś tak młoda, ani on tak stary, i że takie przechadzki samotne....

— Nigdy już nie nastąpią—odpowiedziała Sybilla.

ROZDZIAŁ VII.

Sybilla udała się do panny Glyn, pani Mush wyszła do Saint-Vincent w jakimś interesie, a Dermot siedział sam w bibljotece. Nic nie przerywało biegu jego myśli, zajętéj przyszłością.

Przyszłość ta nie bardzo powabnie wyglądała, ale to pewna że wkrótce będzie musiała uledz zmianie. Niepodobna będzie długo przebywać pod jednym dachem ze swoją nieprzyjaciołką; kto z nich zwycięży, ten plac otrzyma. Sybilli, ledwie połowę swoich kłopotów opowiedział, pokrywszy milczeniem ten ustęp swego życia, w którym pan Smith odegrał rolę. Przemilczał go i przed Blanką Cains w dniach owych, kiedy była jego narzeczoną.

Czy pani Kennedy wié cóśkolwiek? i jeżeli wié, jak postąpi?—takie sobie w myśli zadał pytanie. Biedny Jakób, wprowadził nieprzyjaciela do środka twierdzy, bez możności wypędzenia, na zawsze. Biada mu, jeżeli kiedy zasłuży na jéj niełaskę! Wtedy ona stanie się tyranem, a on niewolnikiem. Jakże ją wtedy będzie nienawidził, a jak ona nienawidzić go będzie, gdy się dowié o wszystkiem.

Jest cóś niezmiernie wstrętnego w nienawiści między mężem i żoną; i chociaż przyjaźń Dermota dla ojca Sybilli z wielu przyczyn znacznie ochłodła, a o szczęście małżeńskie Blanki nie dbał wcale, myśl o téj nienawiści była mu tak przykrą, że starał się z niéj otrząsnąć. Noc była cicha i ciepła, wyszedł więc z bibljoteki i w przechadzce po galerji klasztoru, szukał ochłody i odpoczynku. Wpływ natury na jego umysł był tak wielki, że w istocie wkrótce zapomniał o fałszywości Blanki, o zmiennéj przyjaźni Kennedego i o swoich i Sybilli zmartwieniach.

Niedługo nasycał się ciszą nocy i wypoczynkiem umysłu, gdy dał się słyszeć odgłos daleki toczącego się pojazdu, brzęk dzwonków, i stawał się coraz wyraźniejszym. Pani młoda przyjeżdżała do domu. Dermot nie uznał za stosowne wyjść na spotkanie Kennedego, ale też i nie myślał unikać spotkania z nim lub z jego żoną. Stanął w galerji i tam ich przejścia oczekiwał.

Kareta pocztowa stanęła przed gankiem, Narcyz i Deniza wybiegli z latarniami. W ciszy nocy usłyszał Dermot głos Kennedego: Tędy moje serce—tędy!

— A Elżbieta—gdzie Elżbieta?—dał się słyszeć głos Blanki.

— Tu, proszę pani,—dał się słyszeć głos inny, kobiecy, dość ordynarny.

— Przywiozła sobie pokojówkę!— pomyślał Dermot;—biedna Sybilla nigdy jéj nie miała.

— Obejrzyj-no pudełko z kapeluszami — mówiła daléj pani Kennedy, a głos jéj rozległ się już bisko Dermota.

Drzwi wiodące z dziedzińca do galerji otworzyły się; pokazała się w nich jakaś ciemna postać z latarnią—Deniza, a raczéj ujrzał Dermot, dwie postacie, z których jedna za każdém poruszeniem szeleściła suknią jedwabną. Dermot stał niedaleko w galerji, spokojnie oczekując.

— Zdaje się, że tu nie ma nikogo — mówił Kennedy do żony; ale świeci się w bibljotece — któżby tam był? — Sybilla, czy pani Mush?

Posunęli się pod okno bibljoteki, gdy pani Kennedy spostrzegła postać Dermota.

— Kto tu? szepnęła, tuląc się do ramienia męża.

Kennedy wziął do ręki latarnię i podniósł ją, podczas gdy Dermot się zbliżył. Przez chwilę panowało milczenie. Światło błyskające na tych trzech twarzach, okazywało różne uczucia każdéj osoby. Dermot patrzał spokojnie, nieco ironicznie; pani Kennedy jak gdyby ducha widziała, tak była blada i przestraszona; Kennedy stał niezmiernie zmięszany.

— Cóż to, Dermot?..—zawołał—myślałem żeś w Kanadzie.

— Nie pojechałem—okazało się że nie ma potrzeby. Jutro ci to opowiem.

— I byłeś tu ciągle?

— Tu i w Anglji. Usłyszałem tam o twojém małżeństwie i nie uważałem za stosowne zajmować się interesami.

Kennedy rozśmiał się przymuszenie.

— Muszę ci przedstawić panią Kennedy — dawna znajomość pod nowém nazwiskiem.

Dermot skłonił się. Pani Kennedy rzuciła na niego chłodne, ostrożne spojrzenie i lekko drgnęła.

— Pójdźmy, moja droga,— rzekł małżonek. No, Edwardzie, stary druhu, cieszę się że cię tu widzę,—gdzież Sybilla?

— Poszła do panny Glyn,—rzekł Dermot — i czas już żebym poszedł po nią, dodał, patrząc na zegarek.

Skłonił się powtórnie, i odszedł prędkim krokiem.

— Jaka chłodna noc, — rzekła pani Kennedy obwijając się w szal kosztowny,—i jaki to osobliwy człowiek ten pan Dermot. Nie złożył nam żadnych życzeń, stał wyprostowany jak kołek. Ale wiem, że nigdy nie byłam w łaskach u niego.

Roześmiała się pogardliwie przy tych słowach, ale Kennedy nic nie odpowiedział. Zdziwiony był i zasmucony. Dlaczego Dermot siedzi tu w Saint-Vincent, kiedy miał jechać do Kanady? Dlaczego ma taką minę chłodną i surową? Czyż to pierwszy Kennedy mający pięćdziesiąt lat ożenił się z młodą i ładną panną? — i co jego to obchodzi?

— Pewno to tak będzie — mówiła daléj pani Kennedy wchodząc do pokoju, wraz z swoim małżonkiem;—Dermot mnie nie lubi i nie kontent z mego przybycia. To przykro, nieprawdaż?

— Nie lubi cię moja jedyna? — odpowiedział małżonek, spoglądając z czułością i pychą na jéj kwitnące oblicze—ależ, o ile pamiętam, Dermot cię uwielbiał.

— O nie, nie!—żwawo odpowiedziała pani Kennedy,

— Doprawdy, myślałem że ma lepszy gust — odpowiedział śmiejąc się Kennedy. Napozór był bardzo spokojny, ale są myśli które na pierwszy raz migają tylko i nikną rychło, a potém wracają nie wiedzieć jak i dlaczego. Nie zwracamy uwagi na nie, drzemią w nas, ale rosną z dnia na dzień, aż przyjdzie czas, w którym jedno słowo, jedno spojrzenie, nagle obudza je do życia, i wtedy dopiero spostrzegamy, że to był wąż, któregośmy w piersi naszéj wychowali. Taka to myśl weszła do serca Kennedego, gdy usłyszał odpowiedź żony: „O, nie, nie!” powiedziana tonem rozjątrzonéj próżności.

Tymczasem Dermot, przybywszy przed dom panny Glyn, posłał z zawiadomieniem że czeka, i przechadzał się, oczekując wyjścia Sybilli.

Wielkie było zdziwienie i oburzenie panny Glyn, gdy się dowiedziała o tém, co zaszło w Saint Vincent. Przypomniała swoję przepowiednię, że Blanka Cains zarzuci sidła na kogo, zapomniała tylko, że wtedy miała na mysli pana Dermot, nie zaś ojca Sybilli.

Sybilla, znękana smutkiem, słuchała w milczeniu tych wywnętrzeń swojéj ciotki, i jéj tryumfowania z własnéj mądrości. Bo dziwna rzecz jak prędko wyszła jéj z głowy pamięć o Dermocie.

— Mówiłam ci że ona myśli o twoim ojcu i dlatego pozostaje w domu wtedy, kiedy my na bal wyjeżdżałyśmy.

A Sybilli przychodziły na myśl czułe uściski, owe chwile serdecznych zwierzeń, kiedy zdawało się że ona i Blanka to jedno, że jedno serce je ożywia.

— Trzeba ci będzie przenieść się i mieszkać tu zemną—mówiła daléj panna Glyn. Na te słowa, Sybilla ocknęła się z zadumy i zapytała.

— Dlaczego?

— Dlaczego? dlaczego?! czyż śmiész jeszcze pytać? — rzekła miss Glyn zapalając się.

— Dlaczegóż miałabym opuszczać dom ojca? zapytała Sybilla z powagą; bo, bądź co bądź, to dom mojego ojca a nie jéj.

— Ojciec postąpił według swego upodobania — rzekła z naciskiem panna Glyn;—gdyby był choć trochę dbał o ciebie, nigdy by tego nie był uczynił;— zaś co się tyczy tego pana Dermota, zawsze byłam tego przekonania, że to jéj wspólnik, tak, wspólnik, Sybillo!

A że właśnie wspólnik panny Cains dzwonił u drzwi panny Glyn, i Sybilla głos jego o nią pytający usłyszała, wstała i zaczęła się zabierać.

— Cóż to, chcesz odejść? — zapytała ciotka, któréj słuch nie był tak delikatny jak młodego dziewczęcia.

— Pan Dermot jest na dole, i domyślam się dlaczego po mnie przyszedł—odpowiedziała Sybilla, blada ze wzruszenia.

— Szczęśliwa para przybyła bez wątpienia; nie chodź Sybillo, nie rób głupstwa.

Sybilla nic nie odpowiedziała na te czułe przestrogi i pospiesznie zbiegła po schodach. Znalazła pana Dermot, przechadzającego się przy świetle księżyca. W milczeniu podał jéj rękę.

— Cóż to, drżysz moje dziecię? rzekł do niéj.

— Nie mogę pokonać wzruszenia.

— Bądź silną, Sybillo.

— Kiedyż przybyli?

— Pół godziny temu. Szkoda, żeś pani nie widziała twarzy młodéj małżonki w chwili, gdy mnie spostrzegła. Ale prędko się opomniała. Niektóre kobiety do zadziwienia umieją panować nad sobą. Dziękuj niebu Sybillo, że nie potrzebujesz z dnia na dzień odgrywać roli, pokrywać uśmiechem wstrętne wspomnienia i spojrzenia nienawistne osłaniać uprzejmemi spojrzeniami.

Gwałtowny ton z jakim wymówił te słowa, przestraszył Sybilę. Okrutne podejrzenie naprzekór jéj woli, jak żmija wkradło się w jéj piersi. Czy ta nienawiść, względem kochanéj niegdyś kobiety, nie była czasem symptomatem nie zgasłéj dotąd miłości?

— Panie Dermot—rzekła—czy pan w istocie jesteś przekonany że powinieneś tu zostać? czy nie byłoby właściwiéj odjechać?

Dermot milczał przez chwilę, a potém odpowiedział z nieukontentowaniem.

— Myśl pani zdaje się jest taka: czy pewien jesteś, że już nie kochasz żony mojego ojca?... Daruję pani to zapytanie, bo nie wiesz jak wielką wyrządzasz obelgę. Gdyby pani Kennedy nie była zupełnie obcą dla mnie, sto razy gorzéj niż obcą, nie pozostałbym ani dwudziestu czterech godzin pod jednym dachem z nią i z jéj mężem. Raz dlatego, iż byłoby to nikczemnie z mojéj strony, a powtóre, że jestem skłonny do zazdrości i widok kobiety, którą kochałem, kochającéj innego, przyprowadziłby mnie do szaleństwa. Raz więc na zawsze pozbądź się pani takich przypuszczeń, jeżeli mamy być przyjaciołmi.

Wyrzekł to tonem surowym, który boleśnie dotknął Sybillę.

— Nie gniewaj się pan na mnie, rzekła, nie myślałam nic złego.

— Gniewać się? nigdy w świecie! Wiem, że nie możesz mnie pani bardzo lubić, ale chodzi mi o twój szacunek.

Nie może go bardzo lubić! Więc tak dobrze zachowała tajemnicę swego serca?

Dermot mówił daléj:

— Nie powiadam tego w sposobie wymówki; nasze lata, nasze temperamenta, nasze usposobienia, nie dopuszczają w twém sercu silniejszego dla mnie uczucia. Bardzo to naturalnie, że mnie, więcéj chodzi o młodą jak ty panienkę, niż tobie, o starego bywalca, jakim ja jestem.

Tego już było zanadto.

— Ale mnie bardzo o pana chodzi!—rzekła Sybilla—doprawdy, bardzo!

— Czy tak?—dobrze, nie przypuszczałem tego. Twoja przyjaciółka, panna Cains, inne rzeczy opowiadała, widać to były jéj zmyślenia; a teraz zbierz pani siły, bo mamy ją spotkać.

Stali właśnie przed bramą; po chwili nadszedł Narcyz i otworzył. Przeszli przez klasztor; u schodów Dermot puścił ramię Sybilli.

— Pan nie idziesz? zapytała słabym głosem.

— Nie, mam zajęcie. Ale zbierz pani siły; raz trzeba to odbyć. Sybilla zatem sama weszła do salonu. (*d. c. n.*)

Z kroniki przemysłowéj i społecznéj.

— Kwestja drożyzny węgla opałowego i cukru, ciągle jest na porządku dziennym. Kupcy narzekają, ale koniec końców nie wiele na tém tracą; płacą więcéj za produkt, ale go téż drożéj sprzedają. Jedynie tylko zmniejszone spożywanie tych artykułów niekorzystnie na ich interesa wpływać może. Za to konsumenci, słusznie narzekają. W piecu trzeba palić, cukier stał się już dziś niezbędnym, a tu dochody nic się nie powiększają, owszem, z każdym dniem cięższ, o grosz coraz trudniéj. O ile wiemy, drożyzna węgla przeważnie jest wynikiem handlowych spekulacij. Dostawcy tego produktu skontraktowali ogromne jego massy i z pomocą sztucznego wstrzymywania dostawy oddziaływali na podwyższenie cen. Prawdopodobnie jednak sprawdzi się na nich przysłowie „kto pod kim dołki kopie sam w nie wpada"; nie zajmujący się bowiem stale handlem węgla, zachęceni wysokiémi cenami, wzięli się do niego, a zwiększając konkurencję, obniżyli ceny i zmusili owych spekulantów do szybkiego pozbywania się nabytego po dość rzeczywiście wysokich cenach produktu, skutkiem tego nastąpiła tak wielka stagnacja w interesach tamtych, że ci dziś za jakąbądź cenę radziby się zrzucić z zawartych na ogromne summy kontraktów; słychać, że jeden z domów handlujących węglem, ofiarowywa aż 30,000 rsr. odstępnego. Jeśli więc te rzeczy w ten sam sposób daléj rozwijać się będą, to możemy się spodziewać znacznego cen obniżenia.

Co się tyczy cukru, to wysokie jego ceny pochodzą, raz, z nieurodzaju buraków, powtóre, z otwarcia się nowych komunikacij z Rossją. Cukrownie krajowe nie posiadając dostatecznéj ilości produktu surowego, były zmuszone zmniejszyć produkcję, przez co zaofiarowanie na rynkach krajowych znacznie się zmniejszyło, podczas gdy żądanie do Rossyi o 50% przewyższyło dawne. Stan taki jednak ma miejsce jedynie dla tego, że nowe, tak nagle zwiększone żądanie, zastało nasze fabryki nieprzygotowanémi, że tak powiem. W roku przyszłym postarają się one niezawodnie o zachęcenie rolników do większéj produkcji buraków, tak, że zwiększone żądanie będzie zrównoważone podobnémże zaofiarowaniem.

Naturalnie rzeczy biorąc, zdaje się, że im produkt jakiś daléj się od miejsca wytwarzania takowego spienięża, tym droższy być powinien i naodwrót. Tymczasem zaobserwowaliśmy zupełnie co innego. W kilkomilowém promieniu od cukrowni Kazimierzy Wielkiéj, cukier o kilka groszy jest droższy niż w Warszawie, do któréj, bądź co bądź, z dość daleka sprowadzać go trzeba; w fakcie tym najlepiéj uwydatnia się oddziaływanie prawdy ekonomicznéj, że *cena zależy od stosunku żądania do zaofiarowania*. W Warszawie współubiega się mnóstwo handlujących cukrem; w okolicach zaś wspomnianéj fabryki, tylko ona jedna ceny nakłada. Jest to rodzaj monopolu, który zawsze do podwyższenia cen prowadzi.

Dziś jedynym ratunkiem kieszeni naszych jest — zagranica. Gdyby nie obawa transportów zagranicznych, ceny cukru najmniéj do 30 kop. doszły.

— W dniu 20 b. m. i r. odbyło się publiczne posiedzenie Dyrekcji Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w obecności członków Komitetu Towarzystwa i Komitetu właścicieli listów zastawnych. Przedmiotem tego posiedzenia było zdanie sprawy z działalności w drugim półroczu roku zeszłego. Szczegóły będą ogłoszone w sprawoz daniu, które niezadługo okaże się na widok publiczny. My notujemy tylko, iż Władze Towarzystwa w ciągu ubiegłego półrocza, wystawiły na sprzedaż 1,039 dóbr, z których sprzedano 23. Jestto maleńka próbka stanu interessów naszych obywateli ziemskich lub téż ich słowności w uiszczaniu się ze zobowiązań.

— Wspólka kapitalistów założyła Towarzystwo bezimienne, celem zakupienia trzech browarów do p. H. Junga należących. Kapitał 1,500,000 r. zebranym zostanie przez wypuszczenie akcij storublowych, które mają być rozebrane przez wspólników i częścia odrazu, częścią później pokryte. P. Jung zapewnił 10% dywidendy przez lat 2, a na zabezpieczenie tego zobowiązał się złożyć rsr. 300,000.

Za granicą podobne współki są bardzo powszechne. U nas jeszcze jestto zupełną nowością. (*G. P.*)

— Kurjer Codzienny donosi: iż dwóch obywateli powiatu Opatowskiego zawarło ze sobą umowę, celem otwarcia w Warszawie domu komissowego fabryczno-ekonomicznego. PP. ci mają zamiar ułatwiać przemysłowcom i gospodarzom wiejskim zakładanie fabryk i wznoszenie potrzebnych do tego zabudowań, przez przygotowywanie planów i kosztorysów, oraz mają się zajmować urządzaniem dobr ziemskich, lasów, kupnem maszyn i t. p.

— Zarząd Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury" ogłosił sprawozdanie, z działań swoich, za czas od 1 Lipca do 31 Grudnia 1871 r., to jest za V-te półrocze istnienia tegoż stowarzyszenia.

Ze sprawozdania, dowiadujemy się, że członków było 1,420. Zmniejszenie takie liczby członków, których z końcem IV-go półrocza było 1,607 powstało ztąd, iż do wypisania podało się 83, a Zarząd zpowodu nie upłacania rat wykreślił 104. W półroczu piątém na operacjach zyskano rsr. 3,870 kop. 23, czyli 97 rs. 24 kop. więcéj niż w przeszłém półroczu. Nadmienić tu wypada, że zysk ten będzie rozdzielony pomiędzy mniejszą liczbę członków. Z porównania ruchu w sklepach Stowarzyszenia, koniecznie ten wniosek wyprowadzić trzeba, że ruch ten we wszystkich, prócz sklepu Nr. 5 na Solcu, osłabł, i to nawet dosyć znacznie. Np. średni ruch dzienny w sklepie Nr. 1 na Nowym Świecie w półroczu *czwartém* był 103 rsr. 29 kop. a w *piątém* 73 rsr. 18 kop. Tak w poprzednich półroczach jak i teraz, największy ruch jest w sklepie Nr. 2 przy ulicy Podwale.

Sklep na Solcu zawsze jakoś chroma. W *piątém np.* półroczu zyskano na nim, tylko rs. 7 kop. 91 1/2. i zdaniem naszém, jedynie tylko wzgląd na biedne klasy, strony Solca zamieszkujące, upoważnia Zarząd do prowadzenia takowego.

Bazar, zkądinąd bardzo użyteczny, dał tylko rsr. 20 kop. 25, podczas gdy w *czwartém* półroczu przyniósł rsr. 122 kop. 12 1/2.

Na sprzedaży rabatowéj zyskano rsr. 1,860 kop. 52, to jest rsr. 737 kop. 7 1/2 mniéj niż w półroczu *czwartém*. W sklepach sprzedano razem za rsr 72,937 kop 62, a zyskano na tych operacjach rsr. 6,088 kop. 52. Jakkolwiek więc sprzedaż była mniejsza o 11,452 rsr 5 kop. zysk jednak brutto na towarach podniósł się o 581 rsr. 70 kop.

Pomijamy szczegóły relacji Komissyi Rewizyjnéj jako zbyt specyalne, godząc się tylko z jéj ostatnim wnioskiem, w którym jest wypowiedziana myśl, że słaby rozwój Stowarzyszenia pochodzi ze zbyt małego kapitału obrotowego, który możnaby zwiększyć przez zaciągnięcie pożyczki. Zdaniem naszém, myśl to słuszna; wszystkie handle stoją dziś na kredycie, dla czegoż więc *Merkury*, wszelką moralną gwarancję przedstawiający, nie ma znaleźć takowego, i przez stosowny obrót pożyczonémi pieniędzmi, zyskiwać?

W zeszłą niedzielę w dniu 25 b. m. odbyło się zwyczajne Ogólne Zebranie. Było ono bardzo interessujące, gdyż oprócz zwykłego obradowania nad sprawozdaniem i wnioskami, zajęto się jeszcze niekrórémi poprawkami w ustawie, a przedewszystkiem wyborami, na 3-ech członków Zarządu, dwóch zastępców, jednego członka, Radcy prawnego, 7-miu członków Komissji Rewizyjnéj, 3-ech Rądu polubownego i 7-miu Komitetu Sprawozdawczego. Daléj Zarząd postawił wniosek: aby zebranie Ogólne, z uwagi na konieczność prowadzenia przedaży mięsa, któréj jednak Stowarzyszenie przy obecnym stanie funduszów prowadzić nie może, — dozwoliło na przyjmowanie od członków deklaracij na złożenie wkładów najmniéj 25 rublowych przeznaczonych wyłącznie do prowadzenia handlu mięsnego, który Zarząd obiecuje rozpocząć po zebraniu 5,000 rsr. i to oddzielnie od dotychczasowych interessów Stowarzyszenia. Zyski ztąd mogące się osiągnąć po opłaceniu Stowarzyszeniu od 2% do 3% rozdzielą się pomiędzy właścicieli wkładów, w razie zaś pomyślnego obrotu interesów, Stowarzyszenie będzie mogło częściowo skupić to przedsiębierstwo.

Członków zebrało się dwustu kilkudziesięciu, którzy na prezesa posiedzenia zaprosili p. Pisarzewskiego a na sekretarza p. Franciszka Rapackiego.

Po stosownem odezwaniu się prezesa, zabrał głos p. Walewski w imieniu Komitetu Sprawozdawczego. Przedmiotem tego odezwania się, był rozbiór sprawozdania przez Zarząd złożonego. Otóż, Komitet Sprawozdawczy znalazł to sprawozdanie niedokładném, nie malującém jak należy stanu interesów Stowarzyszenia. Daléj, zwrócono uwagę, że obrót w ubiegłém półroczu zmniejszył się nadmiernie. Zarząd, w osobie swego Dyrektora p. Aleksandra Makowieckiego dowiódł, że zmniejszenie to ruchu handlowego jest bardzo powszechne w półroczu zimowém, że ono istnieje nie tylko w sklepach Stowarzyszenia, ale i we wszystkich podobnego rodzaju handlach prywatnych.

Na zarzut zaś, że w końcu ubiegłego półrocza Stowarzyszenie miało za mało funduszów na pokrycie długów, p. Makowiecki odpowiedział, że rachowano na dalszy obrót handlowy,—że żaden handlujący nie trzyma w gotówce pieniędzy, mających być potrzebnémi na pokrycie zobowiązań o wiele późniéj płatnych,—że ubezpieczanie się na fundusze, w przyszłości wpłynąć mające, okazało się nie uzasadnioném, gdyż dziś wszystkie te zobowiązania już prawie są pokrytémi.

Daléj, na interpelację Zarządu o deficyt z przeszłego półrocza p. M. odpowiedział, że takowy został pokryty odstąpieniem przez Zarząd części tantjemy, oraz zatrzymaniem pensji Sklepowéj, tak, że obecnie pozostało do pokrycia tylko 721 rsr. 5 kop.

Wkońcu, Komitet Sprawozdawczy zaproponował zatwierdzenie sprawozdania. Propozycja ta jednak stała się powodem do długich, głośnych, a mało uzasadnionych sporów. Przeciwko wnioskowi wystąpili pp. Fechner, Wróblewski, Kuczyński, którzy żądali dokładniejszego przez osobną Komissję rozpatrzenia sprawozdania, zarzucając głównie, że Zarząd zaciągnął ogromne zobowiązania, którym nie będzie w stanie zadość uczynić. Za zatwierdzeniem przemawiali pp. Łapiński i Grabowski, z których ostatni słuszną zrobił uwagę, że opponenci żądają aby Stowarzyszenie zawsze było gotowe do likwidacji, co jednak nie jest ani potrzebne, ani praktyczne. Wreszcie Dyrektor zwrócił uwagę Zebrania, że dlatego nie trzyma pieniędzy w gotówce, że go do tego poprzednie Zebrania upoważniły, i że przewidując podrożenie wielu artykułów wcześnie znaczne poczynił zakupy; wreszcie dyskussję nad tą kwestją zamknięto zatwierdzeniem sprawozdania, i przystąpiono do rozpatrzenia wniosków przez Zarząd postawionych.

Wnioski te po niedługich sporach zatwierdzono. Dla krótkości, nie powtarzamy rozpraw, które w istocie żywszego nie obudzały interesu. Ciągle tylko jedni i ci sami opponenci bezskutecznie występowali z rozmaitemi zarzutami i propozycjami.

Więcéj nieco zajęcia przedstawiły dyskusje nad wnioskiem 5-m. Zarząd zaproponował, żeby dotychczasowe gratyfikacje, urzędnikom Stowarzyszenia przez Zarząd wydzielane, zamienione zostały na tantjemę. Komitet Sprawozdawczy, był za pozostawieniem status quo. Tym sposobem poruszono ważną kwestję ekonomiczną co do sposobu wynagrodzenia. P. Wróblewski zabrał głos, popierając zdanie Komitetu Sprawozdawczego. Członkowie jednak, przychylili się do propozycji Zarządu.

Daléj, przyjęto też projekt Zarządu co do zebrania funduszu na prowadzenie rzezi, lecz odzielnie od reszty interesów Stowarzyszenia. Myśl to bardzo dobra, zwłaszcza że Dyrektor ma zamiar i w innych kierunkach tym sposobem działalność Stowarzyszenia rozszerzyć. Tylko zdaje nam się, że zebranie potrzebnych do tego 5,000 rsr. nie tak łatwo przyjdzie do skutku. Ha! szczęść Boże!

Rezultat odbytych na tem posiedzeniu wyborów był następujący:

Na Członków Zarządu wybrani zostali:

PP. Makowiecki (głosów 162), Bogowolski (126), Maciejowski (63). Na Zastępców pp. Massalski, Chmielewski i Magnus. Na Członka Zastępcę p. Walewski.

Do Sądu polubownego pp: Ks. Lubomirski, Wierzchlejski i Potkański.

Do Komitetu Sprawozdawczego:

PP. Wojciechowski Antoni, Borzęcki, Stummer, Spies, Wołowski Władysław, Rodkiewicz i Szumlański.

Do Komissji Rewizyjnéj:

PP. Plocer Z., Grabowski, Żmijewski, Borowski, Znajewski, Fechner; wreszcie pp. Markowski i Kuczyński otrzymali po 69 głosów; wskutek tego, jeśli wszyscy wybrani Członkowie Komissji Rewizyjnéj przyjmą mandaty, los o pozostaniu jednego z nich w komplecie, rozstrzygnie.

Wybaczcie Szanowni czytelnicy, że was dziś trochę zadługo może nudzę wiadomościami ze świata przemysłowego, ale sądzę żeście się już tyle naczytali o koncertach, teatrach, Towarzystwie Muzycznem, iż się nie rozgniewacie za wiadomości ze świata nie tak nowego i błyskotliwego wprawdzie, ale zato praktycznego, — rezultaty działalności którego, wpłyną na stan naszego dobrobytu i niejednokrotnie zatém *spokoju domowego*.

Korespondencja od Redakcji.

— Wierszyk „Do Myśli" drukowanym nie będzie.

— *Pani K. J.* Jéj wiersz pod tytułem: „Anioł-Stróż" drukowanym nie będzie.

— Szanownemu prenumeratowi naszemu z nad Pilicy. — Dziękujemy za życzliwość, przy sposobności skorzystamy z rad Jego.

— *Pannie Adeli Z....* Odpowiadamy na Jéj zapytanie w wierszyku p. t. „Marzenie" *co jest świat i co dla mnie ma?* Rozeznaj swoje pragnienia i jaśniéj objawiaj chęci, a łatwiéj Ci będzie przyjść do ładu ze światem.

— Prenumeratorce z Białéj Rusi. Początek powieści „Druga Miłość", drukującéj się w dalszym ciągu w Opiekunie, nabyć można w Redakcji, w komplecie półrocznym za rs. 1 kop. 20.

Sprostowanie. Na dodatku do przeszłego N-ru Opiekuna wydrukowano przez pomyłkę: Dodatek do N-ru 7-go, zamiast 8-go.

☞ Do dzisiejszego N-ru dołącza się dla wszystkich pp. Prenumeratorów z prowincji, **Spis nasion na rok 1872 ze składu J. G. Berlińskiego w Warszawie.**

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

☞ Patrz Dodatek.